

OLGA TOKARCZUK

Gra
na wielu
bębenkach

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Materiały na zajęcia: prof. Urszula Chowaniec

Ariadna na Naksos

Ani Boleckiej

Odwijała dywan i kładła się z uchem przy podłodze, gdy tylko bliźniaki szły spać. Tak właśnie słuchała. Głos dochodził przytłumiony, zagłuszony warstwami dociepleń, izolacji czy cokolwiek tam wkładają pod podłogę w wielkopłytowym budownictwie. Ale wciąż zachowywał siłę. Wysokie dźwięki płynęły do jej ucha z całą swoją mocą, ale czasem traciła te niższe, właśnie te, które powodowały na jej skórze dreszcze. Zamykała oczy i słuchała, aż budziły ją drobne zdziwione dreptania bosych stóp bliźniaków. Stali obydwa w drzwiach, zaspani, z oczami zapuchniętymi od snu, z kłaczkiem śliny przy ustach, z zarumienionymi policzkami. Pewny siebie, przytomny wzrok dzieci. Jej strażnicy. Wtedy się podnosiła, zawsze nieco zawstydzona i zabierała się do wycierania im nosów, podciągania

śpiochów, sadzania na nocnik. Grzała się już zupa jarzynowa. Dochodził do siebie jogurt. Dwie pary znudzonych ust próbujących wszystkich smaków świata.

Nigdy nie wiedziała, jak ma rozwiązać ubieranie dzieci na spacer. Czy najpierw ona, czy dzieci. Jeżeli dzieci, to czekając, zdejmowały sobie czapki, rozwiązywały sznurowadła. Jeżeli ona, to nawet lekki makijaż rozpływał się, zanim pozaciągała zamki w ich kurtkach, zapięła wszystkie guziki. W tej kwestii nie istniało żadne dobre rozwiązanie. Wychodzenie na spacer stawało się nagle istotnym strategicznie momentem całego dnia, testem na szybkość i inteligencję, taktycznym braniem świata pod but, manifestem kontroli nad nim.

Wolała zjeżdżać z wózkiem windą, to oczywiste, ale wtedy traciła możliwość przemknięcia się obok drzwi tamtej. Nie było tam wprawdzie nic do zobaczenia — drzwi jak inne, jak całe dziesiątki innych drzwi — pomalowane na szaro, z okiem judasza wycelowanym wprost na klatkę schodową. Zwalniała przed tą szklaną żrenicą, stroszyła się i nadsluchiwała, czy stamtąd nie odezwą się znowu znajome dźwięki — łagodna nić melodii czystej jak diament.

Pora spaceru nie była jednak czasem na śpiew. Może tamta wtedy brała kąpiel albo wydzwaniała do znajomych, może zmywała naczynia.

Z tego właśnie piętra, spod drzwi tamtej, ściągała windę i zjeżdżała na dół. Teraz pakowała chłopców do wózka i wyruszała w drogę — przy jezdni do skwerku, tam dwa razy wokół fontanny, potem do parku i na plac zabaw, piaskownica albo tylko spacer. Dreptanie wokół klombów, zbieranie kasztanów, układanie w bukiet wielkich palczastych liści, mówienie do dzieci — rwane, senne, alogiczne; potem przyjemność milczenia, gdy chwiejnie odbiegały od niej i zajmowały się przez chwilę sobą. I powrót do domu wzdłuż ciągu sklepów. Ich kolejność znała na pamięć: obuwniczy, drogeria, bar „Kolor”, delikatesy. Zakupy robiła dopiero w sklepiu wypchanym towarami pod sufit. Właśnie tam, żeby nie dać się ponieść rozpuszcie delikatesów, żeby kupić to, co najpotrzebniejsze od razu, wszystko za jednym zamachem. Reklamówki z zakupami wisiały przy rączce wózka, czasem niebezpiecznie go przeważały. Musiała wtedy uważać na krawężnikach. Podwójna spacerówka dla bliźniąt i siatki z zakupami — teraz trzeba to było wsadzić

do windy i dojechać na dziewiąte piętro, gdzie zgrzyt klucza budził we wnętrzu mieszkania znajome zapachy — dzieci, proszku do prania, gotowanych jarzyn.

Wtedy najczęściej i w tym mieszkaniu piętro niżej też panowała cisza. Cały blok zamierał, jakby ci nieliczni, którzy rano nie musieli nigdzie wychodzić, teraz przesypiali wczesne popołudnie. Wyobrażała ich sobie — jedni nad drugimi, i jeszcze obok, w gigantycznej kostce rubika, ściśnięci w małych kuchenkach. Z łokciami opartymi o rozkładane stoły, nad talerzem odgrzewanej zupy. Potem — wycofani w trawienie, krótkie drzemki, które rozszczepiały ich myśli na małe kawałki w żaden sposób do siebie nie dopasowane, kanciaste i szorstkie. Były także puste mieszkania — trudno je sobie wyobrazić — opuszczone wczesnym rankiem, rozbebeszone porannym pośpiechem, przegrzane od kaloryferów; mieszkania, w których jedynym ruchem mogły być tylko wędrujące leniwie w powietrzu cząsteczki kurzu.

Chłopcy jedli, potem wysadzała ich na nocnik. Za chwilę kładła się z nimi na kanapie i czytała monotonnym głosem dobrze im znaną bajkę. Słu-

chali, patrząc w sufit. Zapadali się w tę bajkę, ich oczy błędziły po pęknięciach farby coraz wolniej, by w końcu przymknąć się, lecz nigdy nie do końca. Spod powiek szklily się niepokojąco ich źrenice.

Wtedy tamta zaczynała śpiewać.

Obie były więc jakoś zsynchronizowane, ich rytmy zachodziły na siebie tajemniczo, poddając się niewidzialnym smugom czasu. Ostrożnie zsuwała się z kanapy i na palcach szła do drugiego pokoju, gdzie odwijala dywan i kładła się na podłodze, żeby słuchać śpiewu tamtej.

Tamta zaczynała od gam. Czasem ciągnęła je dłużej, czasami tylko przez chwilę, na rozgrzewkę. Jej głos wznosił się i opadał. Przejścia między dźwiękami były łagodne i zaokrąglone, jak metalowe łańcuszki. Można było sądzić, że gdzieś tam pod podłogą materializują się w miękkie kule, żelowe piłeczki. Potem płynnie zaczynała nową melodię i było to tak, jakby rozkładała wielkie bele barwnych materiałów, jedwabi i welurów, miękkich szyfów, połyskliwych taft. Melodia pięła się w górę bez trudu, spowijała kilka sąsiednich mieszkań delikatnym cieniem. Ta z uchem przy podłodze bardziej

czuła, niż słyszała, bo ucho było tylko maleńką częścią jej ciała — brzuch, ręce i nogi wcale nie były gorsze w tym słuchaniu. Pod skórą delikatnie wibrowały nerwy. Ciało robiło się tkliwe.

Rozpoznawała prawie wszystko. Rozpoznawała — znaczyło, że po pierwszych nutach wiedziała — to jest to, a to tamto. Nie umiała tego powiedzieć inaczej. Mówiła sobie — „to jest to piękne”, „to jest to smutne” albo „to — to jest to dziwne”. Czasem tamta zatrzymywała się nagle na jakiejś frazie i powtarzała ją kilka razy, wyrwaną z ciągłości, oddzieloną od reszty. Robiła to z uporem, do znudzenia. Zatrzymywała czas i kopiowała tę samą chwilę. Ta na górze nie czuła żadnej różnicy w powtórzeniach. Jakby tamta się zacięła, jakby była mechaniczną kobietą. Może tak było. Kobieta o anielskim głosie nakręcana korbką ukrytą pod sukienką.

W końcu zaczynały krążyć windy, blok budził się z drzemki w środku dnia. Trzaskały drzwi, zaczynała pracować perystaltyka zsypów. Jakieś dzieci hałasowały na schodach, wracając ze szkoły. Komuś włączał się alarm w samochodzie przed domem. Dzwonił przytłumiony telefon. Zgrzytały klucze w zamkach. Bliźnięta budziły się po raz kolejny,

teraz na biszkopt z tartym jabłkiem albo na słodką marchewkę, na przecier z brzoskwiń, na omlet. Trzeba było zapalać światła, powoli jedno po drugim, najpierw w kuchni, potem w pokojach. Pralka domagała się porcji pieluch. Tamta milkła spłoszona wieczornym ożywieniem. Dzień wskakiwał w swoje tory, odtąd będzie już biegł równomiernie, rytmicznie, kwadrans po kwadransie, godzina po godzinie w takt wielkiego metronomu wieczoru.

Zresztą o tej porze wracał mężczyzna — wieszał długi granatowy płaszcz w przedpokoju, szedł myć ręce i brał chłopców na kolana. Ją całował w usta. Niepostrzeżenie włączał się telewizor: jedli obiad przy małym stole w kuchni. Wtedy on mówił, że jak dobrze pójdzie, w nowym mieszkaniu będzie piękna jadalnia.

Raz w tygodniu wychodzili do kina. To też dyktował metronom. Wtedy brali dziewczynę do dziecka. Bliźniaki dawały się opuścić bez protestu. Nie płakały, kiedy wychodzili i spały już, kiedy wracali. Po kinie szli jeszcze, żeby coś zjeść, ale z tym zawsze był problem, bo wszystko było już zamknięte, więc kończyli w jakimś tureckim barze nad kebabem podawanym w plastikowych miseczkach.

To nie było śledzenie. To za wielkie słowo — po prostu poznała rozkład dnia śpiewaczki. Rano była w domu. Ranek milczał. Zaczynała śpiewać koło południa, potem zapadała cisza. Potem jeszcze raz ożywiała się gdzieś około trzeciej, czasami na godzinę, dwie. I cisza. Wtedy właśnie wychodziła, a ta od słuchania z uchem przy podłodze czekała już przy oknie, żeby zobaczyć ją z góry, ze swojego dziewiątego piętra. Tamta szła energicznym krokiem, stopy stawiała lekko na zewnątrz, jak wytrawna tancerka. Jej włosy, bujne, czarne, kręcone, upięte fantazyjnie, spadały na ramiona. Płaszcz nosiła długie, zamaszyste, a pod spodem zawsze coś małego, obcisłego. Mocne, chłodne kolory — malinowy, indygo, fiolet. Wsiadała do niedużego, czarnego samochodu i znikwała za blokami. Ta od bliźniąt nigdy nie zobaczyła, kiedy tamta wraca. Pewnie późno.

Wkrótce udało jej się przestawić cały rytm dnia, żeby akurat być na skwerku pod blokiem, gdy tamta będzie wychodzić. Chłopcy bawili się w piaskownicy, a ona na ławce tkwiła ze wzrokiem rozpiętym między ich głowami w piaskownicy a drzwiami na klatkę schodową. Przyłapywała ją. Widziała, jak

nucąc coś pod nosem, wyciągała z torebki kluczyki, bawiła się nimi chwilę, naciskała pilota. Samochód odpowiadał jej łagodnym piskiem i mrugnięciem. Rzuciła na tylne siedzenie torbę i ruszała. Znikała.

Ta druga zbierała dzieci i wracała do domu.

Potem potrafiła już przewidzieć dokładny czas. Nie zawsze się to udawało, tamta nie była widać punktualna. Ale gdy wszystko wyszło, mijały się na chodniku. Najpierw obojętnie — jest tylu obcych ludzi, których się mija w ciągu dnia, tyle twarzy, płaszczy, butów, teczek i torebek. Jakiś czas potem już patrzyły na siebie. Zawiazki uśmiechów. Kiedyś w końcu tamta powiedziała: „Dzień dobry”, a ona zrobiła się czerwona i niepewnie odpowiedziała na pozdrowienie. Po tamtej zamaszystej zostawała smużka zapachu, lekkiego, kwiatowego.

Tak to trwało — dwie pory roku tylko nieznacznie różniące się od siebie między blokami, gdzie dominującym kolorem była brudna biel tynków.

Latem zaczęła się bać, że tamta nagle wyjedzie i nie będzie już słuchania z uchem przy podłodze. To musiało nastąpić prędzej czy później. Nie mieszka się w takim miejscu przez całe życie,

zwłaszcza będąc śpiewaczką. Już raz zniknęła na miesiąc i opuszczony przez nią wieżowiec, mimo tych wszystkich głosów i dźwięków, tych windziastych szumów, zawodzeń zsypów, klaskania drzwi, arpeggiów dziecięcych kroków, ścigających się na schodach, stał przeraźliwie pusty i głuchy, niemożliwy do życia. Wtedy to ona domagała się od męża zdwojonej dawki zapewnień — domek wśród drzew, duża jadalnia, wyjście na taras i wprost do ogrodu. Potakiwał, ale jakimś cudem znaczyło to „nigdy”. Wtulał się potem w jej piersi jeszcze niedawno pełne mleka — czuła się wtedy silna. Czuła, że jest stałym miejscem — mostkiem nad wezbraną wodą albo nawet wielkim transatlantykiem i było to niewątpliwie dobre uczucie. Ale zasypiała zdziwiona, że nie może przytulić się do samej siebie ani sama siebie ukołysać i wtedy miała wrażenie, że jest dla siebie ciężarem, że więzi się w sobie. Klatka zrobiona z jej własnych żeber.

W soboty, gdy on zostawał z dziećmi, szła na większe zakupy. Brała ze sobą torbę na kółkach, ciągnęła ją po nierównych płytach chodnika i wtedy jej torba odgrywała rytmiczną melodię, a ona nuciła do tego szumu, wynajdywała dla niego drugi głos.

Przejście przez asfaltową ulicę zmieniało rytm — rozpuszczał się, zanikał, ale wracał, gdy torba sunęła po brukowej kostce tuż przy ciągu sklepów. Więc torba na kółkach jest igłą gramofonu, która wydobywa z milczących nawierzchni ukrytą muzykę, myślała. Były jeszcze betonowe podjazdy jak delikatne pociągnięcia smyczków, były nerwowe bębenki kocich łbów na starej ulicy tuż przy warzywniaku, były miękkie dudnienia trąbek w sklepowych pasażach, był łagodny aksamit fagotów na wydeptanych ścieżkach. Ziemia, w różnych formach, w postaci piasku, żwiru, kamieni, asfaltu czy betonu, śpiewała pod kołami wózka na zakupy. Tysiące akompaniamentów, które domagały się jej głosu, nie, raczej głosu tamtej, bo ona sama mogła wydobyć z siebie tylko jakieś mruczanki, chropawe szepty. I czy to nie jest tak, myślała, że tak samo, jak nie można przytulić się do własnych piersi, tak nie da się usłyszeć z zewnątrz własnego głosu. I że właściwie nikomu nie jest dane ujrzeć się choć raz oczami świata, usłyszeć uszami świata, dotknąć siebie jego rękami.

— Popatrz — powiedziała potem do męża — kupiłam bakłażany, kupiłam kapustę, kupiłam jabłka

i śliwki.

I powtórzyła to kilka razy. Jak frazę. Jak refren. Bliźniaki zafascynowane oglądały wyszczerzone, zwielokrotnione, żółte zęby kukurydzy.

Któregoś popołudnia, po wielkim wahaniu, odważyła się zapukać do mieszkania piętro niżej. Tamta otworzyła drzwi i nie wydawała się zdziwiona. Nic nie powiedziała. Ta z góry, powoli wymawiając każdy wyraz wyuczonego przedtem zdania, powiedziała:

— Nazywam się B. Słyszę, jak pani śpiewa. Mieszkam nad panią.

Tamta zaprosiła ją do środka.

Mieszkanie było zupełnie inne, choć przecież miało ten sam rozkład. Tutaj nie było ściany między kuchnią a pokojem, więc przestrzeń dźwięczała zupełnie inaczej. Papierowe klosze lamp świeciły łagodnie i mlecznie. Wielkie białe płótno wisiało na ścianie jak obraz. Drewniana bardzo błyszcząca podłoga. Srebrzyste, porośnięte puszkami liście kwiatów. Tamta poprawiła włosy, kręcone i bujne, spięte. Popatrzyła na B. uważnie i widocznie oceniła wiek, bo przeszła na ty:

— Więc jesteś tą sąsiadką z góry. Z bliźniakami. Identyczni.

— Nie są identyczni — zaprotestowała.

— To tylko matki wiedzą.

Milczały niezręcznie. B. wodziła wzrokiem po meblach — lekkich, prostych. Spodziewała się aksamitnych draperii i ciężkich sof, spodziewała się tłustego dywanu, może nawet zwierzęcej skóry wiszącej na ścianie.

— Szklankę soli, cukru? Może dwa jajka? — tamta roześmiała się jakoś głęboko, gdzieś z wnętrza ciała. Nie sposób było się tym śmiechem nie zarazić.

B. zachichotała.

— Nie, niczego nie chcę pożyczyć. Przyszłam ci powiedzieć, że cię słucham.

— Tak to słyhać? — zmartwiła się teraz tamta.

— To jest piękne, ten twój głos i to, co śpiewasz.

Podziękowała jej za darmowe koncerty. Tamta przeproszała, że pewnie budzi dzieci. B. pokręciła przecząco głową.

— To jest piękne — powiedziała i cofnęła się ku drzwiom.

Tamta zaproponowała jej herbatę. B. pomyślała chwilę o dzieciach, że będą spały jeszcze najwyżej pół godziny. Zgodziła się. Usiadła na wysokim stołku przy barku. Tamta nastawiła wodę i wsypywała do czajniczka długie skręcone listki z czarnej lśniącej torebki. Pytała o dzieci, o ich imiona i jak jej się mieszka na tym osiedlu. B. śledziła każdy jej ruch. Skupione pobrzękiwanie filiżankami. Szelest celofanu i delikatny, apetyczny szmer wysypywanych na talerzyk ciastek. Ręce tamtej — duże i mocne, równe różowe paznokcie z białym, mlecznym brzeżkiem. Francuski manicure. Uderzenie paznokciem w porcelanę. Szmer wrzątku.

Była większa, lepiej zbudowana, niż myślała przedtem B. Miała szeroki piękny dekolt, trochę piegowaty, spore piersi ukryte pod szarą miękką bluzą. Stopy w białych wełnianych skarpetach. B. pomyślała: rozmiar ubrania 42, buty 40. Zapytała o melodię, którą tamta śpiewała ostatnio najczęściej. Chciała ją powtórzyć, miała ją przecież w głowie. I już nabrała powietrza do płuc, ale własna ręka ją powstrzymała. Zatkaną sobie usta.

— No, zanuć — zachęcała ją tamta z dziecięcym uśmiechem. — No, daj spokój, zaśpiewaj.

Ale B. nie mogła. Popukała palcem w blat stołu.

— Ach, chyba wiem, to Albinoni.

B. myślała, że teraz tamta zaśpiewa, ale nie. Piła herbatę. Zdziwiło ją, że to samo gardło, które śpiewa, teraz pije herbatę.

— To Albinoni — powtórzyła tamta.

Wyciągnęła z długiego szeregu płyt dwie i wręczyła jej. Na okładce jednej była jej twarz. B. przeczytała, że Schubert, Mozart i Vivaldi. Na pudełku drugiej było napisane: „Arianna a Naxos”, Joseph Haydn. Wskazującym palcem przesunęła po plastikowym pudełku płyty.

— To właśnie teraz ćwiczę.

Ale B. bardziej spodobały się pieśni. Włączyła je zaraz, gdy wróciła z dołu. Bliźniaki patrzyły na nią zaspane spoza szczebli łóżeczek. Jogurt z owocami. Biskopczik, którego wilgotne okruchy zbierała potem z dywanu.

— Sposa son disprezzata — śpiewała tamta z płyty.

Pomachały do siebie wieczorem — jedna na balkonie, druga przy aucie.

Odtąd B. czekała na nią już każdej nocy. Koncerty kończyły się późno i potem, jak tamta sama mówiła, szła jeszcze z przyjaciółmi na kieliszek wina, bo — mówiła — nigdy nie jada tak późno. Więc chodziło tylko o kieliszek wina i on trwał czasem do północy albo jeszcze dłużej. B. leżała w tym czasie w łóżku, obok swojego męża, śniącego zapewne o domu z wielką jadalnią, i potem na palcach wychodziła na korytarz, żeby nadśłuchiwać dźwięków z klatki schodowej. Kilka razy zdarzyło się jej przyłapać powrót tamtej. Winda, skrzypnięcie drzwi od windy, leciutki dźwięk wyciąganych z torbki kluczy, ich nieporadny klekot, gdy dopasowywały się do dłoni, a potem do zamka. Szczęknięcie, pstryknięcie zasuwki, ciche otwarcie drzwi, kilka sekund ciszy. Trzaśnięcie. Innym razem to samo, ale przetykane męskim głosem. Stłumiony chichot na sekundę przed zamknięciem drzwi. Absolutna cisza. Pokusa, żeby odwinąć dywan i przyłożyć ucho do podłogi.

Znała jej płytę na pamięć. Śpiewała w myślach razem z nią i było to tak, jakby tamta odzywała się

teraz jej głosem. Jakby głos tamtej wydobywał melodię z gardła B. Gdy zapomniała się przy jakiejś pracy, przy prasowaniu, przy sprzątaniu łazienki, pojawiał się znienacka jej własny głos, lecz tylko niszczył dźwięki, rozgniewał je, macerował ochryple. Milkła nieprzyjemnie zdumiona. To ja śpiewałam, myślała.

— Zaśpiewaj dla mnie — powiedziała kiedyś, gdy przyniosła jej pieczone faszerowane bakłażany na talerzu przykrytym aluminiową formą. Jak ofiarę.

Tamtą, zdaje się, rozbawił ten pomysł. Jej głos popłynął w powietrze, najpierw cichy, delikatny, zamszowy, potem coraz bardziej zdecydowany. B. spojrzała wtedy na jej odkryty dekolt, rzut oka na cienką, lekko piegowatą skórę, delikatne zmarszczki między piersiami, cieniutka papierowa granica, pod którą trwa jakieś inne rozwibrowane życie dźwięków w ciemnych wilgotnych labiryntach ciała. A gdy tamta już przymknęła oczy i zniknęła pod dźwiękami płynącymi z jej ust, B. wydało się, że widzi jej serce — duże, masywne; kawał mięsa odmierzający czas i takty. Mięsień pełen mocy, ale i kruchy, jakby te pewne siebie skurcze, to mocne pulsowanie, w istocie brało się z drżenia, z dygotu,

z nieustannych palpacji, bardziej z umierania niż z życia. Miała wrażenie, że odkryła całą tajemnicę i, gdy tamta otworzy oczy, B. nie zdoła ukryć tej wiedzy. Wolałaby więc nie znać prawdy, wolałaby odwrócić od tamtej głowę, spojrzeć na coś gładkiego, prostego, najlepiej coś sztucznego — blat stołu, odmierzalna, rytmiczna konkretność kaloryfera. Odkrycie, że to śpiewa ciało, że śpiewają mięśnie, napięte, drgające kawałki ciała umieszczone w odwiecznym porządku jego głębin, odpowiednio zbudowana krtań, genetycznie zaprojektowane przestrzenie, mięsiste gwizdki. Serce — wstydlivy, intymny zlepek materii, który tłoczy krew. Wnętrze ciała, magiczny aksamit tajemnicy, pełne niepokoju wyobrażenie dotyku, muśnięcia opuszką palca tego, co niedotykalne — sprężystych arterii, pełnych życia opornych chrząstek, ruchomych zakamarków, świadomość kruchego cudu. I nie wiadomo dla czego oczywisty fakt istnienia serca tamtej, fakt niewątpliwej cielesności był jednocześnie wzruszający i nie do zniesienia. Wyobrażenie każdego możliwego bólu, który mógłby zburzyć pracę tego takto mierza pod piegowatą skórą, sprawiło B. cierpienie. Łzy napłynęły jej do oczu i mruganiem usiłowała je

ukryć. Będzie chronić to serce, ukryje je przed innymi, zakopie w ogrodzie na peryferiach miasta, żeby go nic nigdy nie mogło dotknąć. Stanie się jego strażniczką. Tak chaotycznie myślała, wiedząc, że bredzi. To wina muzyki. Jak mógłby żyć człowiek bez serca?

Tamta kończyła pochylona lekko do przodu, nie ukrywając wysiłku. Ściągnęła brwi, gdy z jej ust płynęły ciche jedwabne tony. Uniosła dłonie do ust, jakby chciała nadać dźwiękom ostateczne doskonałe wykończenie. Melodia niedostrzegalnie zmieszała się z ciszą. Tamta znieruchomiała, otworzyła oczy i uśmiechnęła się szeroko. Potem umyła talerz po bakłażanach i wręczyła jej przy drzwiach.

Zamiast do kina, B. wyciągała teraz męża do opery. Obydwoje czuli się tam zagubieni. Widziała tamtą z daleka, ale mimo to wydawała jej się większa w udrapowanych sukniach, z mocnym makijażem, który zamieniał twarz w konstelację oczu, brwi i ust, doskonale niezależnych plam, jak w masce. Głos rozkradały obce zasłuchane twarze ludzi. Stawał się gazetą, która mówi do wielu, a więc jakby nie mówiła do nikogo.

Po wszystkim, jak zwykle, lądowali w tureckim barze i potem samochodem przez zasypiające osiedla trafiali do domu. B. znowu nadśluchiwała windy.

Następnego dnia zawijała rożek dywanu, żeby słuchać. Podłoga była lepsza od opery. Już rozpoznawała słowa: „Teseo mio ben! Ove sei? Ove sei tu?” albo żalosne „Ah, di vederti, o caro, gia mi stringe il desio”. Obraz kobiety, która rozpacza na brzegu morza. Czasem zdawało się, że piętro niżej nie ma żadnego mieszkania. Że jest tam tylko skaliste wybrzeże i okręty, które ukradkiem wymykają się z zatoki. Że świeci oślepiające słońce i szum morza przyprawia o mdłości. Lecz gdy tamta otwierała przed B. drzwi, wracała do swojej zwykłej postaci — postawnej kobiety w szarej bawełnianej bluzie. Rozrzucone papiery na podłodze.

— Przyniosłam ci naleśniki ze szpinakiem — mówiła B., ale w oczach miała trudną do ukrycia prośbę: zaśpiewaj dla mnie. Pokaż mi, jak śpiewasz. Jak to się dzieje, że śpiewasz? Dlaczego ty śpiewasz, a ja nie? Skąd się bierze twój głos? Dlaczego ja tego nie potrafię, dlaczego jestem martwa, a ty żyjesz?

Tamta jadła i mówiła o premierze „Ariadny”. Że już szyją jej strój, że śnieżnobiała tunika przewiązana złotą wstążką pod piersiami. Że włosy z grecka upięte wysoko, całe w drobnych loczkach, jak u kamiennych bogiń. Że miedziane bransolety. I Tezeusz, niewdzięcznik, będzie ją już teraz opuszczał dziesiątki, może setki razy. Jego miecz umazany krwią Minotaura, zhańbiony labirynt. A potem wszystko będzie wracać do punktu wyjścia — będą żyli na oświetlonej rzęsiście scenie, jakby raz po raz tracili pamięć, i to, co ma się zdarzyć, dzieło się samo, kuliście, bez wysiłku i możliwości zmiany. Że to będzie czarodziejskie — brać na siebie wszystkie opuszczenia, ukradkowe odejścia, porzucenia chyłkiem, zniknięcia bez słowa. Że niedługo Ariadna ruszy w świat, do wielkich miast, na jeszcze większe sceny, by dać się co wieczór opuszczać mężczyźnie ze skrwawionym mieczem.

— Jasne, że zaśpiewam.

Włączyła kasetę z akompaniamentem i z kanapy nad filiżanką herbaty rozpoczęła arię, ale potem na forte wstała i chodząc po pokoju, podniosła ręce, jej głos zawibrował, przekłuwając wszystko wokół drobnymi szpileczkami. Przymknęła oczy i teraz

głos zmatowiał, jakby zamienił się w dotyk i miękkim pędzlem omiatał wszystkie przedmioty z niewidocznego kurzu ciszy. B. widziała, jak napinały się mięśnie na szyi, jak dekolt (piegowaty, cienka skóra) unosi się i opada, a oddech pedantycznie zawiaduje głosem i wtedy B. prawie z rozpaczą zdała sobie sprawę, że nigdy nie pojmie tego odurzającego związku skóry, serca, mięśni i głosu. Że między jednym i drugim, między ciałem a wszystkim, co bezcielesne, ziele ogromna przepaść. Dziura w bycie. Że to dwie osobne rzeczywistości, które spotykają się tylko w takich chwilach jak ta. Nigdy zaś nie będą się w stanie przeniknąć ani dotknąć, ani nawet musnąć, ponieważ nie ma między nimi żadnego podobieństwa, ich natury są przeciwne, ogień i woda, materia i antymateria. I że gdy się zobaczy choćby raz taką beznadziejną próbę zbliżenia, wszystko odtąd stanie się tęsknotą, jakby się jednak skądś znało tę niemożliwą jedność. Czuła, że tamta odchylona do tyłu, śpiewająca z zamkniętymi oczami, też musi cierpieć z tego samego powodu — mała zmarszczka między brwiami, równoległe bruzdy na szyi. Wszystko jest oddzielone od siebie,

każda rzecz z osobna, tak samo i one obie. Na dwóch końcach świata.

Tamta skończyła, ale nie otwarła oczu — stała nieruchomo na tle kuchni, jakby zaskoczona ciszą, której była przecież sprawczynią, i wtedy B. podeszła do niej prawie na palcach i położyła głowę na tej jej piegowatej piersi, słysząc jeszcze pod skórą, jak dźwięk zamiera, rozpada się na drobne oddechy, snuje się jeszcze w ciele tamtej, paruje. Poczowała zapach: ciepły, bezpieczny, łagodny zapach kobiecej skóry. Tamta nie poruszyła się, a potem z wahaniem dotknęła jej twarzy i delikatnie głaskała.

I tyle. Potem B. widziała Ariadnę na premierze, skąpaną w świetle, nierzeczywistą. I jeszcze w gazetach, był to bowiem wielki sukces. I początek wielkiego „tourné”. W mieszkaniu na dole zapanowała cisza.

Po jej wyjeździe jesień nie mogła się skończyć. Wciąż wisiało nad miastem ciepłe powietrze, więc liście żółkły powoli, opierając się spadaniu. Codziennie pojawiał się słońce, choć coraz słabsze, jakby dziwiło się tej anomalii, senne. Może to będzie ten jedyny rok w historii — zgodnie przecież

z warunkami prawdopodobieństwa — że tym razem zima nie przyjdzie, postoi tylko na granicy poranków, za horyzontem dnia i na odczepkę przymrozi kilka razy czubki traw. Wszystko zostanie w zawieszeniu, niepewne, czy się już wydarzyło, czy dopiero przyjdzie na nie kolej.